

JACEK JOACHIM SZTYLET WENECKI



Jacek Joachim

SZTYLET WENECKI

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2026

ISBN: 978-83-68384-82-6

Copyright © Spadkobiercy autora

Projekt okładki: Justyna Niedzińska

E-book zgodny z Europejskim Aktem Dostępności EAA

Jacek Joachim, to pseudonim literacki Zbigniewa Kubikowskiego

Spis treści

[Rozdział 1. Dom pod lipami](#)

[Rozdział 2. Przeklnę was po śmierci...](#)

[Rozdział 3. Pływać na głębokiej wodzie](#)

[Rozdział 4. Kolekcja z Suchowłoci](#)

[Rozdział 5. Duch z kosą](#)

[Rozdział 6. List do Jacka Joachima](#)

[Rozdział 7. Twarz zdrajcy](#)

[Rozdział 8. Godzina zero dziesięć](#)

[Rozdział 9. Skrytka nr 512](#)

[Rozdział 10. Pierwsza eliminacja](#)

[Rozdział 11. Druga eliminacja](#)

[Rozdział 12. Finał](#)

[Rozdział 13. Wieczorem, na Dworcu Głównym](#)

Rozdział 1. Dom pod lipami

Wysiadłem z taksówki na rogu alei Lipowej. Ale kiedy zostałem sam na pustej ulicy, z ciężkim workiem podróжным, zmaląła we mnie ochota na spacer w głąb cienistej alei, która, pamiętałem z planu, przecinała zielone przedmieście aż ku polom biegnącym do autostrady i dalej, po horyzont zamknięty pasmem niskich, porośniętych lasem wzgórz. Nazwy wszystkich okolicznych ulic pochodziły od drzew i nie była to przesada ani wynik systematyczności biurokratów. Jeszcze przez szyby taksówki odczytywałem białe napisy na długich, niebieskich tabliczkach: na Kasztanowej rosły kasztany, na Dębowej dęby, na Topolowej topole, na innych też pewnie odpowiednie gatunki, ale nigdy nie byłem mocny w botanice, dałem więc spokój tabliczkom i drzewom, postanowiłem za to zacząć od spaceru, który odkryje mi dalsze uroki dzielnicy. No i mam tę szansę.

Zaskrzypiały koła, odwróciłem się, młoda kobieta pchała przed sobą wózek.

– Chyba za wcześnie wysiadłem z taksówki – powiedziałem. – Przepraszam panią, czy numer sześćdziesiąty na alei Lipowej jest tam, pod górkami, czy trochę bliżej?

– Sześćdziesiąty? – Przyjrzała mi się uważnie. – Pan do domu pod lipami?

– Wszędzie tu rosną lipy, więc pewnie i ten dom jest pod lipami?

– Tak nazywają dom profesora Kędzierskiego. – Zawahała się. – To okropna historia, prawda? Pan jest krewnym profesora?

– Nie – odpowiedziałem. – Nie jestem krewnym profesora. Ale byłem jego uczniem. Więc to daleko?

– Daleko, prawie kilometr. Zobaczy pan wysokie, kute w żelazie sztachety, na furtce nie ma numeru...

Gaworzyłaby tak w najlepsze, ale na szczęście obudził się dzieciak w wózku, wypłuł cumla i ryknął potężnie; kiwnąłem więc głową i poszedłem aleją, wlokąc za sobą piekielnie ciężki worek i przeklinając chwilę, w której zdecydowałem się doładować go książkami, aby podeprzeć swoją zmurszałą już nieco wiedzę o przedmiocie zainteresowań nieżyjącego profesora. Było późne popołudnie. Na bladoniebieskim niebie piętrzyły się białe kłęby chmur, wiatr dmuchał z głębi ulicy ciężkim, zastałym skwarem, gęstym od zapachu lip, kwiatów i skoszonych traw; przez druciane siatki ogrodzeń, rzadkie żywopłoty przeświecały płótna kolorowych leżaków, białe koszule mężczyzn podlewających kwiaty, różnobarwne opalacze kobiet; ale w wielu ogrodach było pusto, okna willi zasłonięte okiennicami, niemal nie słychać dzieci – ci ludzie chodzą teraz po górach, wylegują się nad morzem, płyną po jeziorach, a nie wloką się w ubraniu, z bagażem w rękę po zakurzonym chodniku, złani potem, jak ja teraz, najgłębiej przeświadczony, że każde niemal wakacje przyjdzie mi spędzić w sposób sprzeczny z własnymi upodobaniami i że jest to widocznie moje przeznaczenie, z którym jednak nie umiem się pogodzić. Pędzej więc, niech się już pojawią te kute w żelazie sztachety, niech nadejdzie chwila, w której będę mógł rzucić ubranie, włożyć dżinsy, sandały, lekką koszulę i udawać, że nic mnie nie obchodzą przeciwności losu. Każdą pracę można lubić, ale przecież nie wtedy, kiedy się ją wykonuje. Do każdej pracy można się przyzwyczaić, ale przecież nie wtedy, kiedy nie widać jej końca.

Numer na furtce: 54. Więc już blisko: mały, drewniany domek, przed nim kwitnące klomby: 56. Stara, ponura willa, porośnięty chwastami trawnik, pies ugania po tym trawniku: 58. I wreszcie: wysokie sztachety kute w żelazie, za nimi gęsty żywopłot, a dalej czuby lipowych koron. I furtka bez numeru. To tu.

Pisk hamulców, zatrzymuje się za mną taksówka. Naciskam dzwonek. Z taksówki wysiada dziewczyna, ciągnie za sobą walizkę. Wściekła, spocona jak ja.

– Ładne nam urządzili wakacje – powiedziałem, odbierając jej walizkę. – Dzień dobry pani.

– Nam? – Uniosła brwi. – A skąd pan wie, jak ja spędzam wakacje? I co pan tu w ogóle robi?

Wskazałem swój worek podróżny.

– Przyjechałem, jak pani. Tylko wysiadłem za wcześnie z taksówki i przeszedłem kilometr piechotą.

– Po co? Żeby się rozgrzać?

– Wiedziałem, że pani odgadnie.

Szczęknięła furtka, tęga kobieta rozparła się w wejściu.

– Od kiedy się zepsuł automat, nóg już nie czuję, nie wynajęłam się na odźwierną – oświadczyła. – Jak furtkę zostawię otwartą, to zaraz się znajdzie ktoś, żeby zamknąć, a naprawić nie ma komu. Każdy rzadzi, a nikt się nie zajmie.

– To już taka nasza narodowa cecha – powiedziałem. – Ma pani klucz? To proszę otworzyć zamek i furtka się nie zatrzaśnie. Zamykać będzie pani na noc.

Wyciągnęła klucz z kieszeni fartucha, przekręciła w zamku.

– Pierwsze mądre słowo – powiedziała z uznaniem. – I sposób prosty.

– Wpuści nas pani?

Zmierzyła nas uważnym, ale już życzliwym spojrzeniem.

– A państwo... – zawahała się – państwo krewni?

– Nie – odpowiedziała moja towarzyszka. – Przyjeżdżam z Instytutu Historycznego. Mam wziąć udział w porządkowaniu papierów profesora.

– Mamy wziąć udział – poprawiłem.

Dziewczyna spojrzała na mnie, zaskoczona, ale nie zdążyła nic powiedzieć, bo tęga cerberka skinęła energicznie głową i ruszyła wąskim chodniczkiem między dwoma pasami żywopłotu w stronę domu, nie dopuszczając nas do głosu:

– Już prawie wszystkie pokoje pozajmowane – mówiła – pojeżdżało się gości, każdy chodzi jak po swoim, ale coś jeszcze dla państwa znajdę, jest pokój na piętrze z dużym tapczanem, jakoś się państwo urządzi.

– Ale... – zaczęła dziewczyna z paniką w głosie.

– Musi pani znaleźć dwa pokoje – powiedziałem szybko. – Niestety, nie jesteśmy małżeństwem. Co gorsze, mąż koleżanki ma staroświeckie zasady, wasy i nie lubi żartów.

– Słusznie! – zawołała gospoia. – Ja także mam staroświeckie zasady, a młode kobiety dzisiaj nie umieją ocenić prawdziwego mężczyzny. Sama jestem kobietą, ale wychowali mnie przed wojną inaczej i młodym nic nie wierzę.

– Czy pan oszalał? – szepnęła dziewczyna. – Co pan w ogóle opowiada?

Ale już wchodziliśmy po płaskich stopniach na szeroki taras. Dom był duży, piętrowy, obrosnięty dzikim winem, ciemne otwory wysokich okien bramowały białe, ażurowe skrzydła otwartych okiennic, lśniące w przedwieczornym słońcu na ciemnozielonym tle. Taras był pusty. Stały tam ogrodowe krzesła, zielone, drewniane stoliki, a na nich porzucone karty, książki, szklanki, jakby przed chwilą jeszcze spędzali tu czas wszyscy mieszkańcy domu.

– Goście jedzą kolację – wyjaśniła gospoia. – Państwo pójdą teraz na górę, a potem zejdziecie, coś się jeszcze znajdzie. No i panna Ala będzie chciała was zobaczyć. Wiedziała, że przyjdziecie, ale nie wiedziała kiedy.

– Sekretarka Instytutu miała wysłać depezę – powiedziała dziewczyna. – Nie chcę robić kłopotu, mogę zjeść na mieście.

– Jaki tam kłopot. – Wzruszyła ramionami. – Kaszy więcej wrzucę na patelnię, a kwaśne mleko jest.

Z ciemnego hallu prowadziły szerokie schody na piętro, zza otwartych drzwi w głębi dochodził gwar rozmów i szcęk naczyń. Na piętrze skręciliśmy w prawo korytarzem, za oknem na szczytowej ścianie gęsta korona lipy, przesiane przez liście plamy słonecznego

światła drżały na ścianach rudawym poblaskiem, aż tu słysząc było brzęczenie pszczoł. Gospodyni zatrzymała się przed ostatnimi drzwiami po prawej stronie, otworzyła je zamasyście, zaprosiła moją towarzyszkę szerokim gestem.

– Tu się pani zatrzyma – powiedziała – a z panem – zastanowiła się – co ja z panem zrobię? Naprzeciw mam mały pokoik. Ale tam tylko otomana i szafka. Chyba że jeszcze zapytam...

– Wystarczy mi otomana i szafka – zapewniłem ją gorąco. – Sama pani widzi, jak mało mam rzeczy, a zależy mi przede wszystkim na spokoju.

I zrobiłem minę steranego życiem nieszczęśnika.

– Pan to mi się podoba – oświadczyła gospodyni. – Praktyczny i skromny, dzisiaj między młodymi wielu takich nie ma. Proszę, niech pan wejdzie. Pościel potem przebiorę. Łazienka za tamtymi drzwiami.

I odeszła korytarzem, posapując.

– Czy mogę potem zajrzeć do pani? – spytałem dziewczynę, stojącą jeszcze w progu i patrzącą na mnie z politowaniem. – Chciałbym, żebyśmy zamienili parę słów, zanim zejdziemy na dół.

– Oczarował pan już gosposię i teraz kolej na mnie, co? – spytała. – A właściwie to kiedy mi się pan przedstawi?

– Kiedy się przebiorę.

– W smoking?

– Aha. Zawsze go wożę w węzélku, owinięty w „Trybunę Ludu”.

– Jeszcze się muszę zastanowić, czy mi będzie odpowiadało pańskie sąsiedztwo.

– Za późno. Nie po to się zdecydowałem na tę okropną klitkę, żeby dostać kosza.

Usłyszeliśmy kroki na schodach i cofnęliśmy się równocześnie, zamykając drzwi.

Klitka rzeczywiście była okropna. Czysta wprawdzie, wysoka, ale przypominała więzienną celę z tym wąskim okienkiem, zasłoniętym okiennicą jak kratą, z jasnymi, pustymi ścianami, niewyposażona w meble, poza ową otomaną, wążutką i twardą, i nocną szafką, na której stała, na szczęście, lampka z kolorowym kloszem. Zacząłem żałować, że nie zatrzymałem się w hotelu, kiedy zobaczyłem wąskie, wysokie, lakierowane drzwiczki blisko wejścia, a za nimi głęboką, ścienną szafę, w której wisiało kilka wieszaków. To mi poprawiło humor. Zrzuciłem wreszcie ubranie, wciągnąłem dżinsy i lekką koszulę, książki złożyłem na parapecie, otworzyłem szeroko okiennicę, resztę rzeczy rozmieściłem w nocnej szafce i na półce ściennej i z ręcznikiem przewieszonym przez ramię udałem się do łazienki. Na korytarzu znowu wpadłem na moją sąsiadkę.

– To jest ten pański smoking? – spytała. – Fascynujący. Jestem bliżej drzwi, przegra pan.

I zamknęła się w łazience. Stałem przy oknie, wyrzałem. Pod drzewem, które zasłaniało dach sąsiedniej willi, ujrzałem wysokiego mężczyznę w jasnej koszuli, pogrążonego w cichej, ożywionej rozmowie z kobietą, odwróconą do mnie plecami; widziałem tylko jej jasne włosy, kolorową sukienkę i brązowe, opalone nogi. Gdzieś dalej ktoś grał na gitarze, pogwizdując melodię kowbojskiej ballady, brzęczały pszczoły, intensywny zapach lipowych kwiatów trwał w nieruchomym, przedwieczornym powietrzu. Poczułem zmęczenie, lepkie i obezwładniające. Cały dzień tkwiłem w pustym przedziale pierwszej klasy, obłożony książkami, do których nawet nie zajrzałem: jedną tylko, otwartą, trzymałem na kolanach, wpatrzony w senny pejzaż za oknem, odurzony upałem i rytmicznym postukiwaniem kół; myślałem o latach, które sprawiły, że nie zostałem przy książkach, wyciągniętych teraz z dna biblioteki i otrzepanych z kurzu, że odszedłem z chłodnych, cichych bibliotecznych sal, od zielonego stołu, na którym rozłożone połówki rękopisy, pokryte bladym pismem, wydzielały delikatną, specyficzną woń; od grubych foliów czasopism, czerwono oprawnych tomów bibliografii, radości niespodziewanych odkryć, nudy

zmudnych poszukiwań... Co kilka chwil odczytywałem dwa, trzy zdania, a potem przymykałem oczy, żeby zobaczyć stopy notatek, butwiejących teraz na półce w piwnicy, odczuć tamtą niecierpliwość, podniecenie, gdy odporne fakty poczynają łączyć się w siatkę zwartą i logiczną, satysfakcję, gdy wypełniać się zaczynały puste miejsca w przebiegu zdarzeń, krystalizować intencje, odkrywać zamiary ludzi ożywających nagle, jak kukły dotknięte laseczką czarnoksiężnika – triumf wreszcie, kiedy z chaosu informacji wyłaniać się poczynął obraz konsekwentnych działań, dążeń, prób i usiłowań; gdy jasne stawały się racje, i mogłem sobie powiedzieć, że oto opanowałem bełkot relacji, złamałem szyfr znaków, jakimi tamci ludzie zapisywali sprawy dla siebie tylko oczywiste, a teraz, wreszcie, zrozumiałe i dla mnie...

Trzasnęły drzwi, ocknąłem się, otworzyłem oczy.

– Łazienka wolna!

Pode mną nie było już nikogo. Ucichła gitara, ujadły psy. Gęstniały cienie pod drzewami.

Umyłem się i poczułem się lepiej. Wyszedłem na korytarz i zastukałem do drzwi naprzeciw.

Moja sąsiadka zajmowała duży, ładny pokój, o oknach wychodzących na ogród przed domem, z szerokim istotnie tapczanem, biurkiem, balkonem, fotelami wokół niskiego stolika, z kolorowymi reprodukcjami impresjonistów na ścianach. Była już gotowa: w szafirowym garniturku, z krótką czupryną, której nieład był dziełem sztuki. Kiedy przyjrzałem się jej uważnie, po raz pierwszy właściwie, uznałem, że jej obecność nie sprawi mi przykrości. Podeszła do mnie z wyciągniętą ręką.

– Nazywam się Ewa Szot – powiedziała.

– Jacek Joachim.

Pokiwała głową.

– Tak się domyślałam. Mój szef mówił mi o panu. Mam pana uważać za historyka.

– Ma mnie pani uważać za człowieka. Historykiem jestem skądinąd, nie tak pewnie znakomitym jak pani, ale w tym właśnie zakresie liczę na pani pomoc.

– Sądząc po pana minie, nie miał to być komplement. Ale mniejsza o to. I tak wyobrażałam sobie pana dużo gorzej.

– Dzięki i za to. Pracuję więc w Instytucie Historycznym, pracuję od niedawna. Przyjechaliśmy, aby wziąć udział w porządkowaniu papierów profesora, zorientować się w stanie jego rozpoczętych prac.

– Nie wziął pan pod uwagę, że nie będziemy tego robić sami. Spotkamy tu miejscowych historyków, nieraz wybitnych. Ich pan też wtajemniczy?

– Tylko w razie konieczności.

– Ale oni przecież znają środowisko. Ma pan dla nich legendę?

– Proszę pani, kiedy skończyłem studia, miałem przez jakiś czas asystenturę na uniwersytecie. Ogłosiłem parę prac. Powinna to pani wiedzieć. Jest tu nawet na uniwersytecie mój kolega, jeszcze ze studiów i czasów asystenckich, potem straciliśmy kontakt, powiem mu, że pracowałem, na przykład, w bibliotece. On już jest docentem.

Usiadła na fotelu, podsunęła mi papierosnicę, zapaliliśmy.

– Hm, a swoją drogą – mruknęła – mógłby mi pan powiedzieć, dlaczego przeszedł pan do milicji?

– Wiele osób mnie już o to pytało, panno Ewo.

– Skąd pan wie, że jestem panną?

– Więc z tym mężem to jednak prawda?

– Pan jest niesamowity. Naprzód opowiada pan hojdy bojdy naszej nieszczęsnej gosposi, że przez rok nie sprostuję, a potem sam pan w to wierzy. Nie, nie jestem mężatką, tylko nie znoszę, kiedy się do mnie mówi: panno Ewo.

– Dobrze, czcigodna pani.
 – Czuję, że nie będę pana lubić.
 – Każde silne uczucie budzi wzajemność.
 – Moje uczucia w stosunku do pana są letnie.
 – To się zgadza z porą roku. I może zejdziemy już na dół, czas przedstawić się pani domu.

– Myśli pan o siostrze profesora? Czy to o niej gospośka mówiła: panna Ala?
 – O niej. Widocznie lubi, kiedy się do niej mówi: panno Alu.
 – Oj, chodźmy już, chodźmy. Chociaż, prawdę mówiąc, chciałabym się jeszcze paru rzeczy od pana dowiedzieć, ale to rzeczywiście nie teraz.
 – Zrobiła już pani doktorat? – spytałem, wstając.
 – Bronię za rok. A dlaczego?
 – Bo „pani magister” nie brzmi najlepiej.
 – Oj, niech pan mnie nie męczy. Jeżeli mam być tu dla pana parawanem, to wobec tego przy ludziach proszę mi mówić ty. Dobrze?
 – Bawi panią ta sytuacja? Bo muszę pani powiedzieć, że to może wcale nie być zabawne.

Spoważniała.
 – Prawda – szepnęła – przecież to jeszcze nie ma tygodnia, kiedy...
 Zastukano do drzwi. To nasza zwalista gospośka.
 – Państwo gotowi? – spytała. – Panna Ala prosi do siebie. I kolację już przygotowałam.
 Zeszliśmy na dół, do hallu. Kilka osób stało na tarasie, patrzyło na nas z zaciekawieniem, rozpoznałem wśród nich wysokiego mężczyznę o siwiejących skroniach, którego widziałem niedawno przez okno korytarza – ale gospośka poprowadziła nas bocznym korytarzykiem, odsuwając kotarę, dobraną kolorem do ścian, i zastukała do masywnych drzwi.

– To oni! – krzyknęła, nie czekając na odpowiedź, i nacisnęła klamkę.

Znaleźliśmy się w pokoju zatłoczonym masywnymi, starymi meblami, pięknie zresztą utrzymanymi: jakieś szafy pokryte misternym ornamentem, sekretarzyk wykładany perłową masą, jakieś sofki, otomanki zarzucone kolorowymi poduszkami, radio w olbrzymim pudle, lśniącem ciemną politurą, na ścianach tłok oprawnych fotografii, miniatur, portretów, zegarów, makatek, ceramiki, ściennych kalendarzy i ciężki żyrandol pod sufitem, nieprzyzwoicie nagim w tym szczelnie zapelnionym wnętrzu. Mrok tu już zresztą czał się po kątach, tylko szyby pobłyskiwały krwawo, a na ich tle obok wielkiego skórzanego fotela tkwiła ciemna, wysmukła sylwetka, jakby wycięta z papieru.

– Proszę – powiedziała panna Ala. – Dziękuję Helenie, za dziesięć minut proszę podać kolację w stołowym.

Helena wyszła bez słowa, a panna Ala wyciągnęła rękę ku wysokiej stojącej lampie, umieszczonej za fotelem, wielki klosz rozjaśnił się ciepłym, kremowym światłem, a wtedy zaświeły błyszczące płaszczyzny mebli, ożyły barwy narzut, makatek, poduszek i pokój stał się przytulny i sympatyczny.

– Miło mi państwa powitać – mówiła pani domu podając nam rękę i wskazując miękkie pufy obok fotela – chociaż wołałabym, żeby...

Przerwała, usiadła na fotelu, opierając głowę na ręce, milczała chwilę. Usiedliśmy, nie przerywając tego milczenia. Zachrobotał zegar na ścianie, uderzył raz, za nim odezwał się zegar drugi, trzeci, a wtedy panna Ala uniosła głowę, otarła kąciki oczu i przyjrzała nam się uważnie.

– Uprzedzono mnie o waszym przyjeździe i wiem, kim państwo jesteście – powiedziała. – Chciałabym, żebyście mogli jak najwięcej czasu poświęcić uporządkowaniu papierów mojego brata: wiele pracował przez ostatnie lata, przygotowywał książkę, którą

uważał za najważniejszą ze wszystkiego, co dotychczas zrobił. Mam nadzieję, że wydanie tej książki będzie możliwe i że wy tę możliwość stworzycie. Będę czekała z prawdziwym niepokojem na to, co powiecie, kiedy zaznajomicie się ze stanem rękopisów, będę czekała jak... jak na wyrok. Ta okropna historia, której nie umiem zrozumieć, nie może przecież przekreślić takiej pracy, takiego wysiłku, takiej... – Urwała, znowu oparła czoło na ręce. – To był naprawdę wartościowy człowiek – szepnęła. – Naprawdę...

Jej głos był niski, dźwięczny, zaskakująco głęboki w zestawieniu z wiotką, szczupłą, suchą postacią; twarz pani Kędzierskiej przypominała teraz maskę: drobne rysy, zakrzepłe w wyrazie rezygnacji i goryczy, i sieć drobnutkich zmarszczek, których układ zdawał się świadczyć, że siostra zamordowanego profesora śmiała się często i szczerze, które jednak, nieruchome i obce jakby na tej twarzy, przypominały fakturę starego drewna lub popękanych tekturowych mas, z jakich wyrabiano jarmarczne kukły.

– Chciałam zatrzymać się w hotelu – odezwała się Ewa. – Zdaję sobie sprawę, że dom pełen gości jest teraz dla pani...

Przerwała energicznym ruchem ręki.

– Helena i Janiak mogą pomieszkać trochę w oficynie; będziecie tu mieli dobre warunki do pracy, a i dla mnie będzie to ulga, kiedy pomyślę, że jest pod moim dachem ktoś, komu zależy tylko na tym, co dla mojego brata było najważniejsze i co w jakiś sposób... przedłuża jego życie.

– Byłem kiedyś uczniem profesora – powiedziałem. – Nie potrafimy zmienić tego, co się stało, ale też nie możemy uznać, że było to po prostu zrzęczenie losu. Chciałbym jutro, zanim przystąpimy do pracy, prosić panią o rozmowę.

– Dziękuję panu. – Podniosła się, wstaliśmy i my. – Będę do pana dyspozycji. Proszę teraz zjeść kolację i wypocząć po podróży. Już późno.

Poprowadziła nas przez hall do jadalni i usadowiła przy stole. Wszędzie zapalono już światła, o sufit obijały się ćmy, ale nikt nie zamykał okien, za którymi trwała duszna, ciemna noc. Szczęknięty drzwi od kuchni, zjawiła się w nich Helena z parującym półmiskiem w jednej ręce, szklanym dzbankiem napełnionym kwaśnym mlekiem w drugiej.

– Może przygrzać coś z obiadu? – zapytała, ustawiając przed nami naczynia. – Panna Ala pamięta, zostały zrazy...

– Proszę nie nazywać mnie panną – ofuknęła ją pani domu. – Tyle razy Helenie mówiłam. Po kolacji proszę jeszcze przejść na taras – zwróciła się do nas – poznacie państwo resztę moich gości.

I znikła za drzwiami.

– Dobrze, dobrze – mruzczała Helena, zabierając się do wyjścia. – Nie daj Boże, jak się kobieta zestarzeje i nic z życia nie ma. Dokuczliwa się robi jak mucha.

– Przeżyła silny wstrząs... – mruknąłem z pełnymi ustami, bo głodny byłem straszliwie. – Powinna to pani zrozumieć...

– A ja nie przeżyłam wstrząsu? – Wzięła się pod boki. – To ja weszłam wtedy do gabinetu, to ja pierwsza zobaczyłam pana profesora! Dwadzieścia lat tu jestem, od czasu, jak owdowiałam. Ja ich matkę jeszcze znałam, ja...

– Helena! – zadudnił ochryply męski głos z kuchni. – Helena! Woda wam gaz zalała, wszystkich zatrujecie, wszystkich, a mnie pierwszego...

– To skróćcie kurek! – wrzasnęła i znikła za drzwiami, a Ewa spojrzała na mnie z dezaprobatą.

– Mógłby pan jej nie wyciągać na rozmówki.

– Wszystkich będę wyciągał na rozmówki. A pani mi pomoże.

– Taki pan pewien?

– Niczego nie jestem pewien.

– Nawet mnie?

– Pani najmniej.
– Ładne rzeczy. A to dlaczego?
– Bo jeszcze nie zaczęliśmy pracy, a pani już marzy o tym, żeby ją skończyć i wyjechać.
– Skąd pan wie?
– To widać gołym okiem. Pani się boi tego domu. Jedliśmy chwilę w milczeniu.
– A jeżeli nawet... – zaczęła wreszcie. – A jeżeli nawet, dziwi to pana?
– Nie, nie dziwi. Ale nie pomaga.
– Chyba za wiele pan po mnie oczekiwał.
– Właśnie to chciałem powiedzieć.
– No i masz – westchnęła. – A ja myślałam, że pan się mną zachwyca.
– Pani Heleno!
Na progu jadalni zjawiała się dziewczyna w czarno-czerwonym garniturku, gęste jasne włosy opadały jej na ramiona.
– Pani Heleno!

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI